Rok I. Tarnów, Styczeń 1920 r. Nr. 1 (l. b. 8)

CZUWAJ

CZASOPISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

Prenumerata wynosi:
Rocznie . . . 24 K
Półrocznie . . 12 „
Kwartalnie . 6 „

Numer pojedynczy
2 Kor. = 1·40 Mk.

Ceny ogłoszeń:
na zewnętrznych stronach okładki:
1 strona . . 250 K
1/2 strony . 130 „
1/4 „ . 70 „
1/8 „ . 35 „

Ceny ogłoszeń na wewnętrznych stronach okładki o 25% niższe.

Drobne ogłoszenia za słowo . —·50 K
Stale ogłaszającym się przyznajemy znaczny opust!

„CZUWAJ“ wychodzi od kwietnia 1919 r. jako miesięcznik młodzieży polskiej. Przeznaczony dla ogółu młodzieży, obejmuje jej całość, zarówno młodzież męską jak żeńską. Dostarcza obfitego materjału podstawowego do pracy drużyn harcerskich, kół młodzieży i t. d., stara się ujmować wszystkie objawy ich życia.

„CZUWAJ“ przynosi w każdym numerze bogaty dobór artykułów o różnorodnej i wszechstronnej treści. Jest bogato ilustrowany aktualnymi rysunkami, fotografjami itd.

„CZUWAJ“ stara się podnieść wśród młodzieży znajomość wiedzy o Polsce; stale umieszcza zatem wiadomości z jej przeszłości, geografji, bogactw naturalnych itd., podane w interesującej a przystępnej formie.

„CZUWAJ“ zamieszcza obfity dział literacki. Szczególnie próby początkujących piór będą tutaj zawsze mile widziane. Nużąca jednostronność jest nam obca, a miejsce jej zajmuje rozmaitość działów belletrystyki.

„CZUWAJ“ uwzględnia potrzeby ćwiczebnych organizacji młodzieży i pomieszcza w swym dziale technicznym artykuły z obozownictwa, pionierki i t. d. oraz wskazówki do prowadzenia pracy w zrzeszeniach młodzieży.

„CZUWAJ“ posiada zawsze obfity dział humorystryczny, zamieszcza nowe piosenki z życia harcerskiego i t. d.

„CZUWAJ“ w „Kronice“ odzwierciedla wszystkie objawy bieżącego życia młodzieży. W dziale „Co każdy wiedzieć powinien“ zaznajamia z szeregiem ciekawych wiadomości z wszystkich dziedzin wiedzy.

„CZUWAJ“ uwzględnia potrzeby dzieci i przeznacza dla nich „dział dla najmłodszych“.

„CZUWAJ“ ma swój dział ogłoszeniowy. Firmy polskie ogłaszające się w naszem piśmie, stowarzyszenia spółdzielcze i t. d. zyskują w naszych czytelnikach stałych odbiorców.

Adres
Redakcji i Administracji
TARNÓW
ul. Mała Strusina 2.

Wpłaty
uskuteczniać można wprost w Administracji, przekazem pocztowym, listem pieniężnym, lub na *Konto czekowe P. K. Oszcz. Nr. 143.612.*

W razie nieotrzymania numeru, należy reklamować. Reklamacje są wolne od opłaty pocztowej.

Przy odbiorze powyżej 10 egzempl. pisma, dodajemy 1 egz. darmo.

„CZUWAJ“ jest zatem najbardziej interesującem, najstaranniej pod względem doboru treści i formy zewnętrznej wydawanem czasopismem młodzieży.

Każdy młody chłopiec i dziewczę poprze nasze usiłowania, jeśli:

- **prenumeruje „Czuwaja“ lub stale nabywa poszczególne numery,**
- **zyskuje „Czuwajowi“ odbiorców i prenumeratorów, rozszerza pismo między kolegami i znajomymi, zjednuje nam ogłaszających się,**
- **zapoznaje z „Czuwajem“ rodziców, profesorów, wogóle wszystkich, którym poczynania młodzieży nie są obojętnemi.**
- **zasila „Czuwaja“ swą współpracą, donosi o wszystkich objawach życia młodzieży danej miejscowości.**

POPIERAJCIE „CZUWAJA“!

Tę kartkę okładki oderwij i przybij na widocznem miejscu w swem mieszkaniu, szkole lub klasie, izbie harcerskiej, lokalu czytelni szkolnej i t. p. Może to nam zjednać nowych czytelników lub odbiorców. Dlaczego ty nie chciałbyś nam pomóc!

Co każdy wiedzieć powinien.

Z numerem niniejszym otwieramy w naszem piśmie dział: „Co każdy wiedzieć powinien", w którym będą umieszczane drobne wiadomości, ciekawe dla każdego. Prosimy więc wszystkich czytelników „Czuwaja" o nadsyłanie takich wiadomości pod adresem Redakcji z uwagą: dla działu „Co każdy wiedzieć powinien". Również prosimy o nadsyłanie pod tym adresem zapytań treści ogólnie interesującej, na które wedle możności odpowiadać będziemy. *z*

Zgon badacza. Dnia 16 stycznia zmarł w Londynie znany badacz z dziedziny fizyki i chemji sir Jerzy Delhause-Ramsay w wieku lat 92. Wyznaczył on 10.000 funtów szterlingów, na poparcie badań matematycznych, fizykalnych i wogóle przyrodniczych.

Ważne odkrycie. Od pewnego czasu umieszczają gazety artykuły pod tytułami: „Sny alchemików spełnione", „Możliwa przemiana materji" i t. p. W rzeczywistości cała rzecz wygląda tak: Sir Ernst Rutheford, znany angielski badacz odkrył, że atom azotu jest złożony z atomów wodoru. Odkrycie to jest dla całej chemji ogromnej wagi, bowiem wykazuje, że nawet ciała uważane bezwzględnie za pierwiastki, nie zawsze są niemi i zbliża nas do ideału chemji nowożytnej, do wykrycia, że wszystkie ciała składają się z jednego pierwiastka, którym o ile się zdaje jest wodór.

Wogóle poglądy na atom uległy w ostatnich czasach znacznej zmianie. Dawniej uważano atom za część bezwzględnie niepodzielną. Obecna teorja twierdzi, że atom jest jakby systemem słonecznym w miniaturze. Wewnątrz atomu znajduje się cząstka materjalna o naboju dodatnim, naokoło której krążą elektrony ujemne.

Perpetuum mobile. Pozornem perpetuum mobile jest tak zwany „zegar radjowy". Jest to rurka wypróżniona z powietrza, w której zawieszone są dwa listki pozłótki, tworzące elektroskop. W rurce znajduje się nieco radjum. Pod wpływem elektryczności wydzielanej przez radjum, listki się rozchylają, aż dotkną ścian rurki, na których w odpowiednich punktach są umieszczone dwie płytki metalowe, połączone z ziemią. Dotykając tych płytek, listki się rozbrajają i opadają, poczem gra rozpoczyna się na nowo. Pozornem jest to „perpetuum" dlatego, że energja radu, chociaż może wystarczać do poruszania zegara przez lat setki lub nawet tysiące musi się wreszcie wyczerpać.

Siedm cudów świata. Tak w starożytności nazywano siedm przez swoją wielkość i wspaniałość wyróżniających się arcydzieł. Cudami tymi były:

1) Piramidy,
2) Kolos rodyjski,
3) Wiszące ogrody Semiramidy,
4) Mauzoleum w Halikarnie,
5) Posąg Zeusa w Efezie,
6) Świątynia Artemidy w Efezie,
7) Latarnia morska na wyspie Farus.

Lecz i czasy obecne są obfite w cuda i jest ich nawet tak wiele, że niewiadomo które wybrać jako najważniejsze. Konkurs rozpisany na ten temat przez pewne pismo niemieckie przed paru laty, na który wpłynęło 150000 odpowiedzi, dał następujący rezultat: Siedm cudów świata czasów obecnych stanowią:

1) Telegrafja bez drutu,
2) Kanał panamski,
3) Balon do sterowania,
4) Aeroplan,
5) Zastosowanie radjum,
6) Wieża Eifel.
7) „Imperator" (największy okręt świata).

Prosimy wszystkich czytelników „Czuwaja" by nadesłali zestawienie tych siedmiu arcydzieł, które im się najwspanialszemi wydają, a rezultaty ogłosimy w Czuwaju

Ciężar mózgu ludzkiego Profesor Marchand w Marburgu zbadał ciężar 1.173 mózgów. Mózg chłopca nowonarodzonego waży przeciętnie 277·8 gramów, dziewczęcia 269·3 gr. W wieku 1 roku znaleziono dla obu płci 949·7 i 779·6 gramów. Po trzech latach ciężar początkowy potroił się. Swoją pełną wielkość dosięga mózg u mężczyzn w 19—20, u kobiet w 16—18 roku, mózg dorosłego mężczyzny waży wtedy przeciętnie 1.389, kobiety 1145·7 gramów Ubytek ciężaru następuje u mężczyzny już w 48, u kobiety dopiero w 70 roku życia. Chociaż wielkość czaszki kobiecej wynosi 88 procent czaszki mężczyzny, jednak ciężar mózgu kobiecego wynosi 91 procent ciężaru mózgu mężczyzny. Rosyjski pisarz Turgenjew miał jeden z najcięższych znanych mózgów, ważył on 2.131·9 gramów. Gambetta zato miał jeden z najlżejszych mózgów. Musiał się on zadowolnić 1.179·3 g. substancji mózgowej. *z*

Rok II. Tarnów, Styczeń 1920. Numer 1. (l. b. 8)



CZASOPISMO MŁODZIEŻY POLSKIEJ

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
TARNÓW
MAŁA STRUSINA 2

CENA EGZEMPL.
2 K

KU JASNYM ZORZOM.

Stare z Was ćwiki, a nie jakieś młodziki lub zgoła ciury niedowarzone, i niejeden dzień strawiliście na harcach w polu lub w letnim obozie, a i takich nie brak między Wami, co proch wąchali na polskiej wojnie i śmierci hardo w oczy patrzeli. Wiecie więc wszyscy, jak maszeruje patrol wysłany na zwiady. Kiedy patrolowy dostanie rozkazy, ogląda mapę i obiera drogę dla patrolu, objaśni swym podkomendnym zadanie, i zaraz potem rozsyła straże wprzód, w tył i na boki.

Patrol maszeruje od jednego punktu obserwacyjnego do drugiego. Dojdzie doń — staje w ukryciu, ubezpiecza się czatami i rozgląda się w terenie. Na całej przestrzeni, aż do następnego punktu obserwacyjnego szuka wzrokiem nieprzyjaciela, bada teren, wyszukuje sobie drogę. A gdy już wszystko rozważy, okolicę całą przepatrzy, wybada — wtedy, zawsze ubezpieczonym szykiem, posuwa się żywo naprzód. Jarami, wąwozami, wśród krzewów i zarośli podąża patrol — byle co rychlej u następnego punktu, poprzednio sobie obranego, stanąć i znów badać okolicę i znów dalej maszerować. I tak ustawicznie posuwa się patrol naprzód — aż spełni swoje zadanie i wraz z innymi wielu patrolami wysłanemi podobnie, dokona wywiadu i umożliwi stoczenie zwycięskiej walki.

Jesteśmy wszyscy ustawicznie na takim patrolu. Czas jego trwania: całe nasze życie Mamy dokonać wywiadu przed ostateczną walką o dobrą dolę narodu naszego i ludzkości całej. Kazano nam zbadać gdzie nieprzyjaciel, podejść pod niego, zasięgnąć języka i wrócić, by potem z całą siłą główną przejść do zwycięskiego ataku na zasieki zła i słabości. Ostrożnie maszerować nam trzeba, bo jeden krok fałszywy, jeden strzał niepotrzebny, oddać nas może w nieprzyjacielskie ręce. Za osłonami więc, czasem biegiem, a czasem pełzając u ziemi, dążymy od punktu obserwacyjnego jednego ku drugiemu. A gdy staniemy już u niego, patrzymy w tył na przebytą drogę i rozglądamy się po przedpolu naszem, rozważamy: którędy i jak teraz pójdziemy. Co roku dokonujemy z sobą obrachunku sumienia i rzucamy spojrzenie przed się. Jak umiejętni gospodarze, zastanawiamy się nad całoroczną naszą pracą, cieszymy się dorobkiem i rozważamy jak wyrównać straty.

Oto dziś przychodzi nam znów zatrzymać się na chwilę w naszym marszu ku jasnym zorzom Jutra, obejrzeć się za siebie i nad dalszą zastanowić się drogą. Spójrz na mapę, gdzie drogę naszą złoty szlak znaczy, przez wieki całe wykreślony. Gościniec to prosty, bez zboczeń i zakrętów nagłych. Im dalej on nas wiedzie, tem bardziej ciemnieją kreski oznaczające wyniosłości, po których droga się wspina. Kto zna się na czytaniu map, ten wie co to znaczy. Im dalej, tem bardziej stroma i ciężka to droga. A u strzałki kompasowej napisano trzy jeno słowa: Ojczyzna — Nauka — Cnota.

* * *

Rok minął. A w ciągu roku tego dokonały się rzeczy wielkie i wiekopomne. Przeszły bez grzmotu armat i jęku pól bitewnych — jak kilka lat ubiegłych, siejących zniszczenie i mord, pożogą znaczących się i kałużami krwi po cichych spokojnych polach. Rok ubiegły zaś przyniósł utęskniony pokój dla świata, zupełne zatracenie złego i tryumf wiary i miłości. Otwarły się serca dla pokoju, jęły się dłonie pracy. Rozwarły się wrota nowej ery, rzucono hasło odbudowania tego, co zniszczył szał i żądza przemocy. Świat cały po krótkiej dobie zgrozy i zniszczenia, zawrzał żądzą pracy twórczej, budowania lepszej doli pokoleń przyszłych i narodów całych. Wyciągnięte do zgody dłonie złączyły się w uścisku serdecznym. Powstała rzecz wielka, strażniczka braterstwa ludów, wyobrazicielka majestatu i potęgi ludzkości całej zrzeszonej dla łatwiejszego pokonywania zawad i tam w drodze ku promiennym szczytom: Liga Narodów.

Gdy tak się splatały serca ludów całych na Zachodzie, gdy łączyli się wolni z wolnymi, a równi z równymi, u nas nie cichły salwy karabinów i szczęk oręża miast się uśmierzać, rósł i potężniał. Dokonywał się wielki cud odrodzenia tej, którą za martwą okrzyknięto. Zrastały się odrąbane części z macierzą, wschodziło zbawienia słońce nad krainą mogił i krzyżów. Wiara, nadzieja i miłość święciły swe tryumfy. Czy pamiętacie, koledzy młodzi, rozmowy długie wieczorne, cudowne chwile uniesień, rozpłomienione żądzą czynu twarze, zaciśnięte silnie dłonie, w chwilach — gdy wszystko zawodziło nam pogrzebowe pienia, gdy świat cały niósł nam zagładę i tylko zapomnieniem szczodrze darzył, kiedy zdało się, że niemasz już wyzwolenia i że ostatnie giną nadzieje? W naszych to sercach Polska była wiecznie żywa, w duszach naszych płonęła wiara w spełnienie dziejowych przeznaczeń, święta nadzieja cudu zerwania okowów. Obce nam było zwątpienie, trwoga w nas nigdy nie postała, wróg nas zarazić niewiarą nie zdołał ni razu. Wierzyliśmy w tę chwilę — i przyszła, bo przyjść musiała. A z nią ziściły się dawne rycerskie tęsknoty, o szpadzie sny młodzieńcze. Na trakcie starym husarskich hufców i legji boga wojny, zadudniał głucho żołnierskich tupot nóg, powiały orła białego sztandary. „To djabły nie ludzie" zawołał poprzez pomrok wieku cesarz Francuzów, gdy do ataku mknęli swoleżerzy i z rozmachem ruszała szara piechota.

Nic się nie oparło dłoni chwackiej ku obronie granic, nic czoła stawić nie zdolne rozpędom naszych wojsk. Duma to nasza i chwała, w początkach swych dzieło młodzieży. Bracia nasi młodzi pierwsi stawali w szeregach, pierwsi karne tworzyli oddziały, bronili lwiego grodu, odzyskali Poznań, Wilno i Mińsk zdobywali. A kiedy tak w ubiegłym roku na nowe wkroczyliśmy tory i drogowskazy zmieniły się nasze, musimy w roku bieżącym ugruntować i wzmocnić dróg naszych podłoże. W minionym roku niewiele na tem polu zdziałano — następny rok musi nas zastać maszerujących raźno po dobrze ubitym gościńcu.

Wśród wielu innych naszych spraw, konsolidacja młodzieży zagadnieniem jest najważniejszem. Czas zdać sobie sprawę z tego, że młodzież cała tworzyć winna jedno wielkie ciało, o sercu w zgodny takt bijącem, o wielkich porywach i o potężnych czynach. Trza zrozumieć, że umiłowanie Ojczyzny wymaga tego od nas, byśmy do roboty dla Jej dobra razem stanęli i w ładzie, harmonji, poczuciu konieczności współpracy, zabrali się do naprawienia w nas samych tego, co długie lata wojny zniszczyły lub przytłumiły, do rozbudzenia w sobie serc czystych i myśli jasnych, do wyrobienia rąk krzepkich i nawykłych do pracy.

Chcemy tej sprawie służyć i w tej nadziei zamieniamy pismo harcerskie na ogólne pismo młodzieży. Sądzimy, że oddajemy jej tem naszą „dobrą usługę". Rozszerzamy placówkę — widzimy bowiem, że do obrony trzeba wszystkich, a nie garstki tylko szczupłej. Ręce ku Wam wyciągamy bratnie i witamy Was wszystkich, koleżanki i koledzy, sercem otwartem.

* * *

Patrol zatrzymał się u ruin starodawnego zamku i z wzgórza nurzającego się w obłokach, spogląda w cichą dolinę spowitą w szare mgły. Przebij je orlim swym wzrokiem! znajdź drogę prostą, prawą! spojrzenie rzuć przed siebie, gdzie błyszczy w dali słońca krąg srebrzysty. Okrzyk rzuć śmiały, junackie wyzwanie, skrzyknijże gromko swych towarzyszy:

Naprzód! Nam — droga wolna! *A. C.*

JAK ŻYŁ I UMARŁ ANDRZEJ MAŁKOWSKI.*)

Andrzej, Juljusz Małkowski urodził się 31-go października 1888 r. w Trembkach koło Kutna (na pograniczu dawnego woj. Rawskiego i Brzesko-Kujawskiego). Do szkół uczęszczał w byłym zaborze austr. Był jednym z współzałożycieli tow. abstynenckiego młodzieży krakowskiej „Młodzież". Był członkiem towarzystw: „Eleusis", „Wyzwolenie", „Sokół", „Kuźnica" i „Drużyny Strzeleckie", należał również do tajnych kółek organizowanych przez młodzież niepodległościową,

W lutym 1911 r. zorganizował pierwszy kurs skautowy we Lwowie, w Sokole-Macierzy, gdzie też równocześnie założył pierwsze pismo skautowe „Skaut". Pismo to redagował sam przez rok.

W początkach wojny wstąpił do Legjonów Piłsudskiego. niebawem jednak wyjechał z kraju, by walczyć przeciw Niemcom. Starania jakie czynił w Anglji, by być przyjętym do armji angielskiej spełzły na niczem z powodu, że był cudzoziemcem. W tym czasie Związek Narodu Polskiego w Ameryce wezwał go by zorganizował skautowstwo polskie wśród tamtejszego wychodźctwa polskiego. Wyjechał do Ameryki z koń-

*) Z listu p. Olgi Małkowskiej, żony zmarłego, do ppor. A. Ciołkosza, pomieszczamy pewne ustępy zawierające ciekawe przyczynki do biografji pierwszego polskiego harcerza. Pisownia oryginału została zachowana bez zmian.

cem sierpnia 1915 r. Tu, mimo olbrzymich trudności udało Mu się zorganizować 10.000 skautów. Wydał 3 książeczki: „Pierwsze kroki w skautostwie“, „O wychowanie skautowe“ (zbiór artykułów objaśniających cele i zadanie skautostwa), „Musztra skautowa“. Założył też tajną organizację „Żołnierze Białego Orła“, która była organizacją wojskowo-patrjotyczną i miała być zaczątkiem „legjonu polskiego“, którego założenie wciąż miał na myśli. Niestety intrygi i zawiść rodaków rozbiły tę pracę w zarodku. W listopadzie 1916 r. wstąpił do armji kanadzskiej, gdzie służył najpierw w konnicy (Canadian Mounted Rifles), następnie w piechocie, w końcu w oddziałach technicznych budowy koleji (Canadian Railway Troops). W listopadzie 1917 r. przybył do Europy, w marcu 1918 r. udał się na front bojowy do Belgji, gdzie pozostawał do 28-go października 1918. Wówczas to, po przeszło $1^1/_2$ rocznych staraniach, został nareszcie przeniesiony do armji polskiej, gdzie po złożeniu egzaminu dostał stopień podporucznika, a w parę tygodni później porucznika. 13-go stycznia 1919 wyjechał z Marsylji w misji wojskowej do Odessy wraz z por. lotnikiem Rudlickim. Parowiec, którym jechał „Chaonia“, natknąwszy się w cieśninie mesyńskiej na zabłąkaną minę podwodną, wyleciał w powietrze o północy dnia 15—16 stycznia. Por. Rudlicki ocalał.



Śp. Andrzej Małkowski przed frontem polskiej drużyny reprezentacyjnej zdaje raport gen. Baden-Powellowi. Birmingham, dn. 6 lipca 1913.

Śmierć Andrzeja była równie piękną jak i Jego życie; nie każdemu danem jest tak ginąć. Cały tragizm jej leży w tem, że nadeszła w chwili, gdy po długiej i ciężkiej służbie wśród obcych nagle ujrzał Andrzej swe marzenia spełnione — był w armji polskiej, służył Polsce i niebawem miał powrócić do Polski i tam rozpocząć najważniejszą pracę swego życia, pracę nad młodzieżą polską. Olbrzymi i wspaniały był Jego projekt organizacji tej młodzieży. Nie byłoby to „spolszczenie skautostwa“ ale organizacja oryginalna, rodzima, nasza w każdym szczególe choć ze skautostwem spokrewniona. Niestety Andrzej nie chciał swoich planów spisywać; zawsze odpowiadał: „wolę wprzód zrobić, niż rozpisywać się o tem co jest dopiero zamysłem“.

W ostatnim liście z dn. 12-go stycznia Andrzej pisze:

„Z wielkim nakładem pracy wysłano nas w drogę. Ale co *my* wzamian zrobimy, czym zapłacimy za wszystko, co dla nas uczyniono, tego nie wiem, a nawet nie mam o tem wyobrażenia. O! jak bardzo pragnę dziś światła i sił! — W ciągu całej wojny nic dla Polski nie uczyniłem. Ostatnie dwa lata byłem związany w obcej, kanadyjskiej armji. Teraz kazali mi pracować, wskazują i posyłają w drogę, — której nie znam, która wydaje mi się nie do przebycia. Łatwo to skończyć misję i wrócić do Paryża, czy do Warszawy. Łatwo siedzieć w hotelach i jeździć pięknymi okrętami. Ale jakie *czyny* poza słowami przynieść!“

Charakterystyczny jest tu Jego pesymizm z jakim się o swojej wyprawie wyraża. Nigdy poprzednio w najcięższych sytuacjach nie zauważyłam u Niego najlżejszego cienia zwątpienia w powodzenie podjętego zadania. Jestem pewna, że intuicyjnie przeczuł katastrofę, jak i poprzednio zawsze umiał przeczuć każdy cios, który Go miał spotkać.

BOGACTWA KOPALNE POLSKI.

(Ciąg dalszy).

W Małopolsce — w Swoszowicach koło Krakowa, w Truskawcu i Dźwiniaczu, a w byłej Kongresówce — w Czarkowcach u ujścia Nidy do Wisły, a wreszcie na Górnym Śląsku leżą nasze złoża *siarki*.

W Małopolsce miąższość warstwy ziemi zawierającej siarkę dochodzi do 60—100 metrów. (Zawartość siarki w rudzie do 12%).

W Czarkowach posiadających jedyną dziś w Polsce kopalnię i hutę siarki, zawartość siarki w rudzie wynosi w najwyższych warstwach rudonośnego pokładu 20—25%, a w miejscach najgłębszych dosięga 50%, t. j. bez porównania więcej, niż w innych złożach krajowych.— Te nasze siarkonośne tereny nie są również należycie zbadane, choć są przypuszczenia, że pokłady nad Nidą nie ustępują bogactwem słynnym sycylijskim. W wielu miejscowościach Małopolski, w których dotychczas nie zwrócono uwagi na przypuszczalne w nich rudy siarkonośne, znajdywano w kawałach gipsu siarkę, która spalała się płomieniem.

Ważny materjał produkcji nawozów sztucznych, czyli superfosfatów stanowią *fosforyty*, dobywane na Podolu (zawartość fosforanu wapnia 72—74%). Fosforyty te szły na przeróbkę do fabryk nawozów sztucznych w Królestwie Polskiem. W ziemi rawskiej koło Tomaszowa w Kongresówce mamy również fosforyty, dotychczas naukowo nie zbadane.

Bursztyn znajduje się, jak wiemy na pobrzeżach Bałtyku, gdzie w czasie burz fale wyrzucają go często

na ląd w dużych ilościach. Prócz tego spotykamy piaski bursztynowe w okolicach Ostrołęki i nad prawymi dopływami Narwi.

Nieocenionym skarbem ziem polskich, drugiem po węglu źródłem naszego narodowego bogactwa są olbrzymie podkarpackie tereny *naftowe*.

Ciągną się one na przestrzeni 400 km. długiej, wzdłuż północnych stoków Karpat, od doliny Dunajca aż po Bukowinę, czyli po najdalsze południowo-wsch. krańce Rzeczypospolitej. Na tych obszarach niezliczone szyby i kopalnie wydobywają drogocenny olej skalny (ropę naftową) i wosk ziemny, skąd następnie całymi pociągami naftowymi w zamkniętych żelaznych wozach jadą one na zachód i na północ, we wszystkie ziemie republiki polskiej a także i do państw ościennych służąc za przedmiot handlu zamiennego. Podczas wojny niezliczoną ilość ropy zrabowali nam nasi wrogowie odwieczni, a i dziś jeszcze przemycają ją rozliczni niesumienni paskarze, okradając w ten sposób swój kraj.



Obóz w Skolem 1913.

Olej skalny występuje w towarzystwie olbrzymich ilości gazów, które spożytkowuje się dla celów opałowych w kopalniach, lub jako siłę popędową motorów.

Już w okolicy Gorlic, Jasła i Krosna są pokłady naftonośne bardzo bogate i rozległe. Trzy pasy szybów produkujących ropę leżą tu równolegle do siebie: 1) od Węglówki przez Potok i Białobrzegi do Iwonicza, 2) pas sanocko-brzozowski, i 3) najdłuższy z pasów naftowych, ustrzycko-turczański, od Rozpucia przez Ropieńkę i Bandrów aż po Rozłucz (kilkadziesiąt kilometrów szerokości).

Dalej występuje nafta w powiatach: samborskim (Stara Sól, Strzelbice), drohobyckim (słynny pas Schodnicki), w pow. dolińskim (Witowica-Perehińsko), w pow. nadwórniańskim (Bitkowa-Pasieczna) i w pow. kołomyjskim (Słoboda Rungurska-Kosznacz).

Prócz tej warstwy mioceńskiej, występuje nafta w warstwie oligoceńskiej w olbrzymich złożach w Borysławiu i Tustanowicach, w Staruni, Mołotkowie i Niebytowie, w pow. sanockim, liskim i ustrzyckim.

Prócz miejscowości w których ropę wydobywa się oddawna i w których przemysł naftowy począł się już na wielką skalę rozwijać, jest na Podkarpaciu około 300 miejscowości posiadających ropę, której eksploatacja nie została jeszcze podjętą.

Zapasy naszej ropy są tak kolosalne, że wszelkie dotychczasowe zbyt skromne obliczenia mijają się z prawdą. Według zdania znawcy terenów naftowych inż. Angermanna „dzisiejsze na kilometr w głąb sięgające wiercenia, nie dają wyobrażenia o zawartościach nafty w głębszych pokładach, a dotychczasowa eksploatacja wydobyła dopiero próbki tego, co kryje w sobie łono naszej ziemi.“

Mało kto z nas zapewne wie o tem, że ze wszystkich terenów naftowych w całej Europie, tylko polskie tereny produkują razem z ropą *wosk ziemny* czyli t. zw. *ozokeuyt*. Oprócz miejsc, w których wystąpienia jego są nieznane, pojawia się wosk ziemny w obfitości w Borysławiu z Wolanką i Tustanowicach (pow. drohobycki), w Dzwiniaczu, Staruni i Mołotkowie (pow. Nadwórna). Wosk ten jest eksploatowany.

Dalej w głąb prowadzące roboty wiertnicze sprawdziły, że w warstwach wyższych (około 400 m. w głąb) żyły wosku są bardzo obfite, w niższych pojawia się on rzadziej.

Ozokeryt służy do wyrobu wosku sztucznego, cerezyny, parafiny i innych materyałów palnych, używa się go wreszcie jako materjału izolacyjnego w wyrobie kabli elektrycznych.

Sól kamienna i *sole potasowe* mają wielkie znaczenie dla życia gospodarczego kraju. Jak wiemy nie brak nam i tych skarbów.

Posiadamy 2 obszary solne pod każdym względem różne. Pierwszy, to bogaty pas karpacki, drugi to mniej ważny obszar półn. zachodni naszego kraju: Wielkopolska i Kujawy. Prócz tego odkryto niedawno złoża soli kamiennej na Górnym Śląsku, a przypuszczalnie znajdziemy sól i w ziemi Kieleckiej koło Buska i Solca (znane źródła słone).

Podkarpackie pokłady soli ciągną się szerokim pasem od Orłowej i Solczy na Śląsku wzdłuż całych polskich Karpat i kończą się aż na południe od Bukowiny w granicach Rumunji.

W olbrzymich ilościach występuje sól kamienna w Wieliczce i Bochni (kopalnie wszystkim znane). W tych miejscowościach złoża solne mają po kilkadziesiąt metrów grubości. Zawierają one 2 odmiany soli kamiennej: 1) *sól szybikową*, pokarmową o zawartości 98, 5% chlorku sodu (soli jadalnej), 2) *sól spiżową*, mniej czystą bo o 94 do 95% chlorku sodu. W najwyższej warstwie leży najgorszego gatunku *sól zielona*. Obie ostatnie używane są w przemyśle i jako sól bydlęca.

Zasoby soli pokarmowej obliczają w Wieliczce na 400.000 ton (nie zbyt wiele), soli zielonej na 600.000 ton, a soli spiżowej aż na 20,000.000 ton! Złoża bocheńskie dostarczają tylko soli pokarmowej.

Produkcję kopalni w Kałuszu i Kosowie przetwarzająwarzelnie. Prócz kopalni mamy ogromną ilość źródeł słonych, czyli solanek (około 500); otrzymanie z nich nadającej się do użytku soli umożliwiają liczne warzelnie, rozrzucone po całym podkarpackim pasie solnym.

W drugim obszarze powstały kopalnie soli koło Inowrocławia, gdzie miąższość solonośnych pokładów jest bardzo znaczna. Znajduje się tam sól. Prócz tego istniejąca w Ciechocinku warzelnia dostarcza dość dużej ilości soli. Znane źródła słone tejże miejscowości zawierają $4^1/_2$ do 6% soli.



Zabawy obozowe.

Sole potasowe, występujące obok soli kamiennej znajdują się w Kałuszu, Stebniku i Morsztynie (najobfitsze w Kałuszu). Znaczenie ich w produkcji sztucznych nawozów jest powszechnie znanem. W największych masach występuje w złożach soli potasowych kainit, potem sylwin, karnalit i sole potasowe manganowe. Pokłady kainitu w Kałuszu mają przeciętnie do 12 m. grubości.

Kamienia budowlanego nie brak żadnej z ziem historycznej Polski. Południe zwłaszcza odznacza się pod tym względem bogactwem i rozmaitością.

W Małopolsce wapienie, dolomity i wapień jurajski, na Śląsku piaskowce, w ziemiach Kieleckiej i Radomskiej piaskowce czerwone (używane do wyrobu kamieni młyńskich) i białe (materyał wyborowy). Wapienia, jako materjału do wypalania wapna dostarcza, pasmo jurajskie między Krakowem a Częstochową; znane szeroko są marmury kieleckie z okolic Kielc i Chęcina, używane jako materjały zdobnicze (wyrób nagrobków).

(Dokończenie nastąpi).

MYŚL PRACY...

A. Konopnicka.

„A wy zimni z pól tych precz!"

W cichej wiosce podkarpackiej, ubogiej, zapadłej wiosczynie, gdzie nie dochodzą odgłosy tego kotłującego wiru, tej szalonej walki o byt, ustawicznego pędzenia na oślep za czemś marnem i nikłem, za złotem które najczęściej szychem jest, za tęczobarwnem niby bańka mydlana szczęściem, które za dotknięciem pryska, — poczęła młoda nauczycielka żmudną pracę. A piękny i szczytny to trud.

Bowiem cóż może być piękniejszego, niż praca na niwie ojczystej, niż posiew zbożnych słów i zasad, niż rozjaśnianie mroków miłością i wiedzą, niż wskazanie ludowi, że jest lepsze, wewnętrzne życie,

...„że do wrót,
Gdzie tkwi niezłomny prawdy krzyż
Można dojść tylko drogą cnót
Poprzez hartowny woli spiż".

Rozumiała, że duszy ludu, że duszom dzieci powinno się wszystko co w sobie jest dobrego poświęcić, że „rzucić tam garść świetlnych promieni, dać pożądanie prawdy i piękna, wołać i prowadzić ku światłu"

„Duszom ku rozwojowi pomagać" oto dewiza nauczycielki.

W znoju i czujności idzie niestrudzona pracownica niby na stromą górę poprzez ciernie i głogi, unosząc polotem i wzrokiem swego ducha — duszę ludu, miłością swego serca — szczepiąc jego serce.

Z zupełnem zapomnieniem o sobie, bez cienia egoizmu, płynie na fali życia.

A po znojnym dniu pracy zbiera jak rolnik snop kłosów dojrzałych, kwiaty i.... kamienie.

J. Z.

BAJKA.

Szli sobie raz trzej podróżnicy do północnego bieguna. Szli bardzo długo... a było ich trzech, jak już wyżej powiedziałem: 1) Anglik, 2) Jankes i 3) Norweg.

Łagodni to byli ludzie i spokojni bardzo, ale uparci, że nie daj Boże. Jak sobie przed pięciu miesiącami przyrzekli, że do bieguna dojdą i zatkną na nim chorągwie o barwach narodowych, tak wytrwali w tem postanowieniu przez stopięćdziesiąt dni.

I nie zrażały ich żadne przeszkody i przeciwności. Nie powstrzymał ich w drodze straszny niedźwiedź biały, potwór lodów arktycznych, dla którego zabicie człowieka, łatwiejszem jest jeszcze od zabicia foki lub lwa morskiego. Nie powstrzymały ich okropne podbiegunowe zawieje ziejące mrozem i śmiercią, ani najniebotyczniejsze podbiegunowe barykady lodowe, powznoszone najniepotrzebniej przez głupie bezmyślne kry i góry lodowe, które je budowały i pyszniły się z tego. Nie powstrzymał ich widok słońca podbiegunowego, które w pobliżu bieguna nie chciało zapadać za horyzonty i chodziło niezdecydowane po niebie tam i z powrotem z ognistą czupryną, zupełnie jak warjat, lub szaleniec.

Trzej podróżnicy nie zniechęcili się tem wszystkiem bynajmniej; białego niedźwiedzia zabili, zawieruchy śnieżne przetrzymali z właściwym ich rasie uporem, zadęte śniegiem barykady przebyli po długich a ciężkich usiłowaniach, razem z saniami i psami pociągowymi, — nad słońcem zaś przeszli najspokojniej do porządku dziennego. Przecie nie tylko oni, ale każde myślące i chodzące do szkoły dziecko Anglji, Ameryki lub Norwegji wie o tem, że słońce podbiegunowe, jak niegdyś przed miljonem lat w chwili stworzenia świata dostała manji prześladowczej na tle niezapadania za horyzont przez pół roku, tak nie wyzbyło się jej do dzisiaj. Zato już, jak wpadnie raz za ten znienawidzony horyzont (twierdzi ono, że to tylko wskutek nieostrożności) — to siedzi tam w dziurze przez pół roku i nie śmie się pokazywać ze wstydu.

Ale wróćmy do rzeczy...

Szli nasi trzej podróżnicy uparcie, zawzięcie i nieubłaganie, szli wreszcie szybko lub powoli lub umiarkowanie! Naturalnie, jak im było wygodniej w danej chwili. Strasznie byli uparci, zawzięci i niepowstrzymani. Wołał do nich lód, śmiał się wicher, odgrażał się mróz: Nie dojdziecie, nie dojdziecie, nie dojdziecie! A oni szli naprzód i odpowiadali ustawicznie i przekornie: Dojdziemy! dojdziemy! dojdziemy! (uważajcie tedy, jak byli uparci, zawzięci i niepowstrzymani). Ich własne psy eskimoskie, potrząsające przy sankach skórzaną uprzężą szczekały do nich zniechęcone: Nie dojdziecie, nie dojdziecie, nie dojdziecie! — a oni odpowiadali idąc wciąż naprzód: Dojdziemy, dojdziemy, dojdziemy! (Widać z tego dokładnie jak byli uparci, zawzięci i niepowstrzymani).

Szli, odpoczywali, pędzili, stawali, spali, robili pomiary i znów szli dalej. A ostatnie pomiary wykazały im, że są już niedaleko bieguna.

— Oto już mamy biegun przed nami — mówił Anglik do Jankesa. — Trzeba już wypakować nasze sztandary o narodowych barwach.

„DZIECI TARNOWSKIE"

Wspomnienie z r. 1863.

Jakkolwiek pierwsze usiłowania inicjatorów i żołnierzy powstania, zmierzające do opanowania miast Kongresówki, a przedewszystkiem Płocka, nie powiodły się, to jednak duch, ożywiający te pierwsze zastępy bohaterów coraz szersze obejmował kręgi, — tak że niemal po wszystkich większych miastach, obfitujących w młodzież, zwłaszcza szkolną, poczęły się tworzyć oddziały „zbrojne", gotowe poświęcić życie za ojczyznę.

W szeregu takich środowisk zapisany jest także i Tarnów, a jak się rzecz miała, opowiedział jeden z uczestników tej dziecięcej wyprawy, Stanisław M. w następujących słowach:

„Piękna i pogodna była ostatnia niedziela w marcu r. 1863. Słońce jasne, choć nie grzejące, ozłacało ściany i dachy wysokich kamienic i niskich chat przedmiejskich i zdawało się rozbudzać do nowego życia czarne pola przedmiejskie, rozciągające się po obu stronach drogi Klikowskiej. Nadzieją wiosny tchnęło powietrze, ale smutek i boleść owładnęły sercami ludzi. Bo oto gruchnęła wieść po całem mieście, wieść przerażająca, że znów jakiś oddział powstańców rozbili Moskale nad Wisłą, a niedobitki, którym się udało przez na pół zamarzniętą rzekę dostać do Galicji, mają sprowadzić żołnierze austryjaccy do Tarnowa i rozmieścić po koszarach i więzieniach. Od rana też snuły się wzdłuż ulicy Klikowskiej tłumy mieszczan i dzieci, niosących w chustkach i koszykach chleb, mięso, wódkę i co kto zresztą miał, aby rozdzielić między zziębniętych i głodnych powstańców. Pierwsze wozy pokazały się dopiero około godziny 3 po południu, konwojowane na szczęście przez naszych chłopów Mazurów, którzy bez żadnej przeszkody pozwalali obdarzać powstańców, rozmawiać z nimi i towarzyszyć im do miasta. Nic też dziwnego, że w tym, tłumie mężczyzn, kobiet i dzieci udało się niejednemu „Królewiakowi" zejść niepostrzeżenie z wozu, wpaść pomiędzy ludzi i zniknąć z przed oczu żołnierzy, zanim ci, również obdarowywani przez mieszczan tytoniem i cygarami mogli spostrzedz co się dzieje.

W ten sposób uniknęło kilkunastu powstańców przymusowego powrotu za granicę, a w następstwie Sybiru lub szubienicy.

W tajemnicy mówiono nam, że ci zbiegowie z konwoju mają się zejść w niewielkim lasku za miastem, leżącym w kierunku ku Dąbrowy. Wielu o tej tajemnicy wiedziało, ale starsi ludzie, bojąc się obecnością swoją zdradzić chwilowe miejsce pobytu powstańców, wysłali kilkunastu nas, uczniów niższego gimnazjum, wieczorem do lasku, dawszy nam do rąk dla tych biedaków trochę pożywienia i niewielką ilość pieniędzy.

— Jeszcze dzień cały iść trzeba — odpowiadał flegmatycznie Jankes — wypakowywać nasze flagi to jeszcze żaden Interes.

— Tak, dla Sportu... — usprawiedliwiał się Anglik; to była jego stała odpowiedź.

Norweg nie mówił nic, bo właśnie modlił się w duchu o powodzenie ostatniego dnia wyprawy — dziwił się tylko bardzo swoim towarzyszom.

— Ten oto robi wszystko dla Sportu — myślał zgorszony — a tamtemu nie schodzi z ust Interes. Dziwni ludzie; w pobliżu bieguna mówią o takich rzeczach zamiast myśleć o chwale Boga, Ojczyzny i Wiedzy. On bowiem dążył do bieguna z myślą o tych trzech ideałach.

Spieszyli się wszyscy podróżnicy bardzo. Krzyczeli na swoje psy, popędzali je i przynaglali, bo już chcieli się znaleźć u celu. Mknęły pieski chyżo z wywieszonymi jęzorami, płozy sań slizgały się błyskawicznie, jak łyżwy po iskrzącym, puszystym śniegu, a ludzie okutani w futra i kożuchy biegli obok nich, wymachując biczyskami i wyrzucając przed siebie nogi w grubych, wysokich butach.

Pędząc tak bez wytchnienia przez dzień cały zmęczyli się bardzo. Spotniały im oblicza, oddychali ciężko i szybko, nogi odmówiły im posłuszeństwa. Wstrzymali sanki wśród ogromnej płaszczyzny śniegowej po której pędzili (ciągnęła się ona wzdłuż morskiej zatoki), rozglądali się przez trzy sekundy po okolicy, gdzie na prawo od nich wznosiły się nieduże śniegiem pokryte pagórki i siadłszy na saniach usnęli. Anglik i Jankes usnęli natychmiast, a Norweg dopiero po chwili, przypomniał sobie bowiem, że to dzień Bożego Narodzenia i że dlatego wypadałoby modlitwą uczcić Boże Dziecię. Kląkł na śniegu, zmówił pacierz... porozmyślał chwilę o rodzinie, którą zostawił w dalekim Trondjehmie, o malutkim synku Eryku, który pewnie teraz skacze naokoło ślicznej, pachnącej lasem choinki... przypomniał sobie że nie zrobił pomiarów dla sprawdzenia, jak daleko znajdują się od bieguna... i zasnął...

— — — — — — — — — — — — —

— Nagle ujrzał coś, co go mocno zadziwiło...

Podniósł się z sanek i osłoniwszy dłonią oczy, wpatrywał się pilnie w dal... Jakiś malutki, dziwny przedmiot toczył się po śniegowej płaszczyźnie, wprost ku saniom wędrowców... Co to mogło być.

Nagle zaśmiał się wesoło i plasnął w dłonie.

Ach, jakie to pocieszne...

Szło ku niemu milutkie, drobniutkie dziecko ledwie od ziemi odrosłe. Główkę podniosło odważnie do góry, grubemi, tłustemi rączkami machało w powietrzu utrzymując równowagę, a nóżki stawiało dzielnie w biały, puszysty śnieżek, maszerując wciąż naprzód..

Ach, jakież to rozkoszne maleństwo... — roztkliwił się Norweg. — Przecież to chyba nie mój Eryk... Skądżeby on się tu wziął. Zresztą Eryk jest trochę większy... ma już całe dwa lata...

Malutki podróżnik dotarł do sanek i podniósł na Norwega cudne gwiaździste oczy...

— Proszę pana...

Podzieliwszy się na 3 oddziały po 3 uczniów, udaliśmy się około godz. 7 wieczorem różnemi drogami do lasku i spełniliśmy nasze zadanie. Któż się jednak będzie dziwił, że wojownicy ci wywarli swojem poświęceniem na nas młodych takie wrażenie, iż uważaliśmy ich wszystkich bez różnicy nie tylko za bohaterów i męczenników, ale za największych dobroczyńców naszej ojczyzny i z zapałem ucałowaliśmy te ręce, które porzuciwszy spokojną zawodową pracę, zapewniającą im utrzymanie i dobrobyt, pochwyciły za broń, aby wyprzeć naszych ciemiężców.

Rozczuleni powstańcy opowiadali nam swoje przygody, nadzieje i boleści, mówiono o życiu obozowem, pełnem nieraz humoru, mimo zimna, głodu i bezsenności, a myśmy z zapartym oddechem i łzami w oczach wchłaniali w siebie te opowiadania, aby je potem między swoimi powtórzyć. Najbardziej jednak utkwiły nam w sercu i zabolały nas słowa jednego ze starszych, który prawie z płaczem dowodził, że powstanie upaść musi, bo mało ma poparcia że strony samych Polaków, że kiedy setki tysięcy powinny stanąć z bronią w ręku i upomnieć się o swoje prawa, zaledwie tylko niewielka ilość bierze udział w boju i życie dla wolności poświęca.

Rozżaleni i smutni wróciliśmy do domów. Kiedy na drugi dzień przybyliśmy do szkoły, zaczęto potajemnie z rąk do rąk podawać sobie arkusz papieru, na którym było w kilku słowach gorących napisane wezwanie, aby każdy z uczniów, który się tylko czuje Polakiem, podpisał się na to, że w dniu później oznaczyć się mającym, przybędzie do kapliczki św. Walentego za cmentarzem i stamtąd pójdzie razem z innymi za Wisłę, aby wspólnie ze starszymi bronić niepodległości narodu. Wezwanie to, podpisane przez ucznia Jana Klinga, podawali sobie w największej tajemnicy uczniowie trzech najniższych klas, bo do nich właśnie odezwa ta się stosowała — i zapisywali się na arkuszu.

Po kilku dniach zeszło się przy kapliczce przeszło 80 małych gimnazjalistów, którzy obrawszy Stanisława M. za przewódcę, postanowili raniutko na drugi dzień udać się w drogę ku Partyniowi, odległemu o 2 mile od Tarnowa. Ośmiu jednak gorętszych nie chciało czekać aż do dnia następnego, ale poszli natychmiast, obiecując nam we dworze przygotować śniadanie. Ponieważ wielu uczniów posprzedawało książki szkolne i zaopatrzyło się w niewielką gotówkę, nie chcieli wracać do domów ale postanowili przenocować gdziebądź i umieścili się na noc w ogrodzie mej matki, gdzie był podówczas skład desek, a więc miejsce dość wygodne na nocleg.

Nazajutrz rano o godzinie 6 wyruszyliśmy w drogę. Jakież jednak spotkało nas przykre rozczarowanie! Oto może w pół drogi do Partynia zobaczyliśmy na podwodach naszych 8 kolegów, jadących w towarzystwie żan-

— Ohoho, taka odrobina, a już mówi — zdumiał się Norweg...

— Proszę pana... niech pan weźmie te sanki ze sobą... Pójdziemy do mamusi. —

Dwie gwiazdy, dwie cudne źrenice patrzyły w oczy Norwega. Coś dziwnego, jakaś moc niezrozumiała popchęła go ku zaprzęgowi sań. Wziął w rękę długie skórzane biczysko...

— Jazda pieski, jazda — mruczał cicho, a psy ruszyły z miejsca zaprząg ze zgrzytem.

— Jazda pieski, jazda — zachęcała dziecina, posadzona na sankach obok Anglika i Jankesa. Ci spali jak zabici.

A Norweg szedł powoli, jak we śnie (bo też było to we śnie) jednostajnym silnym krokiem, zaganiając psy biczyskiem. A wierne pieski biegły równiutkim kłusem tak długo, aż przebywszy śniegową płaszczyznę wstąpiły na grunt wyższy i weszły na szczyt niedużego wzniesienia. Tu zatrzymały się nagle.

— Tu już dobrze — usłyszał Norweg głos dziecka ze sanek. Obejrzał się, ale maleństwa nie ujrzał nigdzie.

— Gdzie jesteś, mój mały — pytał zatrwożony... i przetarł oczy.

Zbudził się i rozglądał dookoła otworzonemi szeroko ze zdumienia oczyma. Stał na niewielkim wzniesieniu, daleko od owego miejsca na płaszczyźnie, na którem zatrzymały się niedawno sanki zmęczonych podróżników.

— To ja we śnie nie wiedząc o tem, przeprowadziłem tu sanki — szepnął do siebie przerażony — a ci śpią jeszcze...

A z płaszczyzną śniegową, na której był przed chwilą, zaczęło się dziać coś strasznego. Nastąpił kataklizm natury, tak częsty na podbiegunowych lodach. Olbrzymia równina poczęła pękać w potworne rysy i szramy, z hukiem i trzaskiem przeraźliwym. W rysach tych i dziurach poczęła się ukazywać bulgocąca woda. Lunęła wszystkiemi szczelinami i poczęła pędzić z szumem po śniegu. Morze wtargnęło straszliwą lawiną.

— Myśmy stali na płycie lodowej, która teraz rozleciała się — uprzytomnił sobie Norweg, a strach zjeżył mu włosy na głowie.

Ogromna tafla lodowa, stanowiąca cichą przed chwilą róweinę połamała się, jak stłuczone szkło. Spiętrzyły się gwałtownie barykady lodowe i wyskakując na chwilę ponad wodę, tonęły potem w rozhukanych nurtach. Niezrównanej wielkości kawały i bryły kry odłupane, jakby ciosem siekiery, odpływały powoli na pełne morze drżąc i chwiejąc się na wodach.

Na miejscu płaszczyzny hulało ogromne, wzburzone morze. Wędrowcy byli na samym jego brzegu, spokojni o swój los i bezpieczeństwo.

Norweg płakał jak bóbr... Dziwowali się obudzeni towarzysze cudownemu ocaleniu i dziękowali Panu...

— — — — — — — — — — — — —

A potem rozłożyli swoje narzędzia miernicze i przystąpili do pracy. Niespokojnie wpatrywał się w swoje przyrządy Anglik, czuła igła magnesowa latała jak opętana w jego drżących ze wzruszenia rękach. Wszyscy byli pogrążeni w głuchem milczeniu.

---

darmów do miasta. Przerażeni rozprószyliśmy się natychmiast. Po południu dowiedzieliśmy się, że przywiezieni do Tarnowa koledzy, tworzący niejako przednią straż naszego oddziału, zostali w magistracie na rozkaz burmistrza wychłostani i oddano ich pod nadzór rodzicom. W szkole jednak nie mieli z tego powodu żadnej przykrości, bo zacne grono profesorów udawało, że nic o całej sprawie tej nie wie.

Popołudniu przyszedł też do mnie Jan Kling z prośbą, abym wieczorem przybył znów do kapliczki gdzie miało się zejść kilku kolegów w celu porozumienia się co do dalszego postępowania.

Zeszło się kilkunastu i zaczęła się rozmowa cicha wśród ogólnego rozdrażnienia i żalu, że nasze tak piękne plany spełzły na niczem. Rozmaite były zdania, co teraz czynić trzeba, przeważało jednak to, że nie zdołalibyśmy się mimo najgorliwszej chęci dostać za Wisłę, a nawet w razie udania się tego planu, moglibyśmy prędzej wpaść w ręce moskali, niż dostać się do obozu powstańców.

Poczciwe dzieci postanowiły jednak przynajmniej modlitwą przyjść w pomoc walczącym braciom i natychmiast pomodlić się za nich na cmentarzu. Ponieważ cmentarz o tej godzinie (a było już około 10-tej) był zamknięty, dostaliśmy się do niego przez rzeczkę Wątok i uklękliśmy pobożnie u stóp krzyża, wznoszącego się nad grobem jednego z poległych.

Po modlitwie, na wniosek jednego z uczniów, złożyli mi wszyscy obecni przysięgę, że gdziekolwiek będą się znajdować, choćby po wielu, wielu latach, przybędą na moje wezwanie, aby chwycić za broń, jeżeli tego ojczyzna potrzebować będzie. Ucałowawszy się, wśród płaczu, wróciliśmy do domów i do dalszej nauki".

Tak się skończyły dzieje wyprawy wojennej 11-to i 12-to letnich gimnazjalistów tarnowskich.

„Pogoń", 20 I. 1907.

* * *

Chybione usiłowania młodzieży tarnowskiej w r. 1863, czyn nierozważny wprawdzie, ale szlachetny, świadczy o gorącym jej patrjotyźmie. Niezwiązani żadną organizacją zebrali się wszyscy samorzutnie, a karnie z jedną myślą i jednem pragnieniem.

Tasama, wiecznie młoda i jasna niby jutrzenka idea walki o wolność, przyświecała zawsze młodzieży polskiej, prowadząc, jej zastępy w ciężką, a umiłowaną służbę. „Dzieci tarnowskie" to poprzednicy bohaterów z pod Lwowa!

Dziś jednak po odzyskaniu wolności ojczyzna nie żąda od nas ofiary z życia, jeno rozumnej, a wytrwałej pracy i jak ci poprzednicy nasi na tych ławach szkolnych są dla nas wzorem poświęcenia, tak my stańmy się dla naszych młodszych kolegów i dla tych, którzy po nas w te mury przyjdą — wzorem pracy.

— Biegun — padło jedno magnetyzujace słowo z ust Anglika, głos drżał mu nieco...

Jakby na komendę odkryły się głowy...

— Krondsen, zatknij chorągiew Norwegji — zabrzmiał w ciszy uroczysty głos Jankesa — ona tu pierwsza powiewać powinna...

Anglik pochylił głowę w milczeniu na znak zgody...

A Norweg otarł ciepłe łzy z oczu i wyjął chorągiew.

DZIWY LICZBY.

Tam, gdzie pojęcia nasze o rozmiarach przedmiotów plączą się, przychodzi nam z pomocą liczba, choć działanie jej cudowne nie zawsze nam rzecz wyjaśnia. Słyszy się często słowa w rodzaju: „kto może sobie tę rzecz jasno przedstawić? Tu tylko liczby mogą pomóc!". Gdy zaś wtedy liczba chce wejść w swoje prawa, słyszy się odpowiedzi: „któż może sobie takie liczby wyobrazić?" Gdy idzie w nieskończoność, — oczywiście nikt. Szczególnie stosuje się to do „najmniejszych wartości", które często bardziej nas zdumiewają, niż nieprzejrzane kolumny liczb, których używa astronomia, często wychodząc przytem daleko poza granice zakreślone przez względy praktyczne.

Zatrzymajmy się najpierw przy astronomji.

Jak wiemy przebiega światło w 1 sekundzie okrągło 40 tys. mil. („austryjackich" = 300.000 km.), a więc drogę od słońca do ziemi, długą na 20 miljonów mil w $8^1/_2$ minutach. Ale już od najbliższej ziemi gwiazdy α w konstelacji Centaura przychodzi światło po $3^1/_2$ latach, przyczem jeden rok świetlny odpowiada drodze $1^1/_4$ biljona mil. Jan Herschel ocenił czas, jakiego potrzebuje światło na przybycie na ziemię z najdalszej, w jego teleskopie jeszcze widocznej mgławicy, na 20 miljonów lat świetlnych. Zadajmy sobie trud pomyślenia nad tem ile to wynosi. Rok świetlny ma (jak powiedziałem) $1^1/_4$ miljona mil, mgławica ta unosi się więc w odległości 1,250.000,000.000×20,000.000 = 25 tryljonów mil!

Czyż kontynuować te obliczenia dalej? Cóż nam po biljonach i tryljonach, gdy nie mamy żadnej podstawy do poznania wartości biljona? Spróbójmy tę wartość określić. Biljon jest to tyle, że człowiek, który jest w stanie w każdej sekundzie liczyć do trzech, musiałby liczyć około 10 tysięcy lat, dniem i nocą, by mógł tę liczbę wyliczyć.

W niezmierzonym kosmosie chodzi jednak nietylko o odległość, lecz także o stosunki objętościowe ciał niebieskich. Tak np. pojemność słońca wynosi 3.326 biljonów mil sześciennych. Z tą liczbą nie możemy nic absolutnie zrobić. Żeby te 3.326 biljonów wyliczyć, potrzebowałby człowiek (według poprzedniego przykładu) 34 miljonów lat.

Jeżeli długie kolumny liczb dają nam wyobrażenie o wielkości stosunków w naturze, to robią to również ułamki w kierunku odwrotnym. Najprostszą formą żyjącą jest, jak wiemy, komórka. Ona jest pierwiastkiem, który występuje wszędzie, tak w budowie ciała roślinnego, jak zwierzęcego. Każdy organizm jest zbudowany z całego systemu takich komórek. Jakąż wielką wartość ma taka komórka? Komórki, które mają w średnicy ułamki milimetra, są uważane za wielkie; najmniejsze posiadają zaledwie $^1/_{1000}$ milimetra, a często jeszcze mniej średnicy. Najdziwniejszą jest jednak zdolność rozmnażania się tych malutkich ciał. Jedna bakterja rozpada się w ciągu 20 minut, przez podział w dwa stworzenia, które w następnych 20' tę czynność powtarzają, tak, że po 3 godzinach może powstać 512, po 4-ch 4096, po 8-miu z górą 16 miljonów, po 16 godzinach 281 biljonów bakterji z jednej.

Możemy tu przy sposobności przytoczyć znaną opowieść o wynalazcy szachów, która polega również na ciągłem podwajaniu wartości. Gdy indyjski Moguł, który się rozkoszował grą w szachy, pozwolił wynalazcy prosić o jakąś łaskę, zażądał ten ostatni nic innego, jak ziarnko pszenicy na pierwsze pole szachownicy, dwa ziarnka na drugie, cztery na trzecie pole i tak dalej — na każde następne pole dwa razy tyle, co na poprzednie. Ale wtedy pokazało się że na ostatnie, 64-te pole wypadało ni mniej ni więcej, tylko 18,446.744,073.551.616 ziarek, ilość, której od niepamiętnych czasów na całej ziemi nie zebrano.

Bardzo drobnemi tworami są ciałka krwi. Walker obliczył objętość ciałka krwi u człowieka na 0·00000007 mm^3 jego ciężar 0·00008 miligramów, a powierzchnię na 0·000128 mm^2. Jeden cm^3 zawiera około 6 miljonów takich tworów, tak że, przy przeciętnej ilości krwi 5 kg., posiada człowiek 25.000 miljardów ciałek krwi. — Bardzo delikatnemi utworami są również naczynia krwionośne, specjalnie te t. zw. włoskowate. Najcieńsze z nich posiada mózg i siatkówka, bo średnicę ich można przyjąć na około 0·0068 mm i jeszcze mniej. Także i w innych swoich organach dostarcza organizm nasz ciekawych przykładów dla „dziwów liczb". Tak n. p. ilość gruczołów potowych wynosi 3·8 miljona.

Wreszcie wpomnieć możemy o tem, że cała ludzkość potrzebowałaby do zużycia tlenu, znajdującego się w powietrzu, gdyby się ten nie odnawiał, drobnostki — 2·5 miljonów lat!

J. I. (z)

SPROSTOWANIE.

Autor artykułu „Żywe lampy" zamieszczonego w numerze 6—7 ub. roku prosi o sprostowanie omyłek druku, jakie wkradły sie doń, mimo bardzo starannej poprawy błędów. Zamiast „Norośwetlik", w podpisie pod ryciną, na str. 10. ma być „Nocoświetlik"; zamiast „Longibartatus", ma być „Longibarbatus".

OD ADMISTRACJI.

Wielkie trudności techniczne spowodowały opóźnienie w wyjściu tego numeru. Numer za luty wyjdzie jeszcze w bieżącym miesiącu. Pismo wychodzić będzie stale w objętości 20 stron i będzie równie bogato, jak teraz ilustrowane.

NAGRODY za rozwiązanie zagadek i szarad z nru 5-o otrzymały przez wylosowanie p. M. Studnicka i Stylińska, Tarnów.

JERZY BRAUN.



Opowieść nowa.

Jakby tu zacząć...

Ja jestem...

Mówię do was — wielki Słoń, Urum-Baba.

Witajcie!!!

Łagodne jest serce moje i przeto nie pamiętam już krzywdy, jaką mi wyrządzili synowie Ludzi...

W chwili, gdy piszę moje dzieje...

— duch mój przebywa już w Raju Słoni

— i ogryza gałązki akacji.

Czytajcie te moje pamiętniki, czytajcie!

Litujcie się doli Króla Puszcz.

Wczujcie się we mnie... Bądźcie słoniami na chwilę.

Oooo! Uuuu! Ramathlabama — Maukaua — Molopo!

— — — — — — — — — — — — —

Postscriptum: Na tem miejscu dziękuję tłumaczowi, który przełożył opowieść moją na język Ludzi.

Niestety bowiem Mowa Słoni jest wam obcą.

Nie rozumiecie Mowy Słoni...

Przepraszam za styl dziki i złą może ortografję.

Ja wyglądam tak.

Głowa moja jest wielka, jak cielę czarnego bawołu...

Oczy moje piękne i pełne wyrazu.

Nos mój długi i karbowany, do ziemi sięgający.

Na nosie mam dwa wyrostki. Rzecz wielkiej wagi.

Kły moje białe są, jak światło księżyca.

Ostre są bardzo.

Podobne tarczom wojowników są uszy moje,

Podziwiajcie grzbiet mój czarny, lśniący i mocny.

(— on jest, jak skała)

Nogi moje to cztery słupy podpierające świątynię.

Brzuch mój to czeluść nienasycona.

Świętym i dobrym jest żołądek mój, który trawi.

Dobrym jest ten, który stworzył żołądek.

Świat opiera się na Żołądku.

Coś wam powiem.

Nie mam trwałej pamięci, nie mam wspomnień.

I dlatego jeden mój dzień, różny jest od drugiego.

Dziś czynię To...

Jutro czynię Tamto, nie skończywszy Tego...

Nie mam trwałej pamięci, a dni są, jak ljany.

Człowiek powiązałby je ze sobą i miałby sznur nieskończonej długości.

Ja wiązać ich nie umiem.

I dlatego opowieść moja — to oderwane obrazy, ciekawe może, lecz chaotyczne.

Przepraszam was za to...

Mój ryk królewski.

Hrrrmfaha!!!

Do mnie ludy moje! Do mnie bracia i siostry!

Jam jest Słoń wasz, Król Puszczy, istota Wielka.

Jam jest najsilniejszy i najmędrszy ze słoni, które żyją na przestrzeniach, od pian morza, miękkich jak gąszcze bzu białego — po mętne, zielone nurty Limpopoo, rzeki Krokodylów.

Jam jest jeden... Słuchajcie mnie!

Dziki jestem i straszny... Kły moje potworne są i białe, jak — Lęk Przed Śmiercią...

Milczcie głupie Bawoły, gdy mówi Urum—Baba!

Chowajcie pod siebie strwożone ogony.

Wołam do wszystkich Ludów Puszczy!!!

Zbiegajcie się zewsząd, wy, plemiona Małp, u których dusza siedzi w ogonie. —

— zbiegajcie się, szczekające małpy z gór Asbestowych i wy z Derde—Derde, wyżyny Niespokojnych Pawianów.

Do mnie, mrowia Ludów Puszczy! I wy z Równiny Kozłów Skaczących, rogate i nierogate...



Nad rzeką Pomarańczową.

Wyrójcie się z ciernistych wzgórz Kalahari — Prostorogie, bo już pora na was!...

Już nozdrza wasze zwietrzyły dym traw, palonych przez Ludzi...

Ustawcie się tutaj równo.

Ustawcie się w długich rzędach nad nurtami Rzeki Pomarańczowej.

Czy słyszycie mój Ryk Królewski?!!

Hrrmfahalaila!!!

Ogłaszam wam i Puszczy, że biorę Ją we władanie moje...

Jam jest Urum-Baba. Jam jest jeden.

Z dni młodości.

Uważajcie, co powiedzieli ojciec mój i matka moja, gdy byłem jeszcze bardzo młody...

Ojciec mój zbił mię trąbą, abym wiedział, że jest ojcem moim —

— i rzekł: „Słuchaj, posłuchaj Urum-Baba, wielki, niesforny Urum-Baba. Słuchaj, posłuchaj! Jako Słoń, przyszły władca Ludów Puszczy stoisz na bardzo wysokiem stanowisku. Pamiętaj, że wszyscy patrzą na ciebie. Bądź spokojny i równoważony. Zachowuj się przyzwoicie. Nie bądź awanturnikiem i nie szukaj dróg nowych. Niech twój żołądek zadawala się trawieniem ziół i kory drzewnej w dżunglach nad brzegami Pomarańczowej Rzeki. Patrz pod nogi i patrz na jadło twoje. Bo gdybyś zaczął patrzeć na gwiazdy, to cała puszcza za przykładem twoim patrzałaby na gwiady. — A wiesz chyba, że wtedy zdechłaby Puszcza...

Bo Puszcza to jest wielki Żołądek,

— a Żołądek nie myśli o gwiazdach —

— On wogóle nic nie myśli..."

To rzekł ojciec mój.

A matka w te słowa: „Słuchaj, posłuchaj Urum-Baba, wielki, niesforny Urum-Baba. Słuchaj, posłuchaj. Ojciec twój jest ojcem twoim, a matka twoja jest matką twoją. O Urum-Baba, Urum-Baba! Mój ukochany synu Urum-Baba! Słuchaj, posłuchaj..."

Tak mówiła matka moja zalewając się łzami i wachlując trąbą. Ale właściwie, jak widzicie — nic nie rzekła matka moja — — —

Słuchałem uważnie i z zajęciem — a potem postanowiłem sobie solennie nie zastosowywać się nigdy do rad ojca mego i matki mojej.

Bo ja jestem Sobie-Sam, słoń Urum-Baba.



Władcy Pustyni.

I raz, pewnego razu...

— I raz, pewnego razu ukłoniłem się grzecznie falom rzeki Pomarańczowej, zawsze jednakowo płynącym, zawsze zadowolonym z losu i pozbawionym myśli twórczej — i poszedłem na południe, wprost na południe...

Widniały tam we mgle oddalenia góry Basuto, obwinięte kapryśnie zieloną przepaską dziewiczych lasów.

Co tam mogło być... Nie mogłem sobie wyobrazić.

A nie macie pojęcia, jak nieprzyjemnie jest, nie módz sobie czegoś wyobrazić.

Szedłem do gór Basuto, bo chciałem spotkać „Coś"... „Coś" czego jeszcze nie widziałem.

I zobaczyłem, bo oto...

Zanim dotarłem do podnóża gór, napotkałem po drodze wielkie jezioro wygładzone dłonią południowej Ciszy Bez Wiatru, a w jeziorze dziwne, niemądre stworzenia, które udawały słonie... Całkiem poprostu bawiły się w słonie — i były słoniami. — Tylko, że siedziały ciągle we wodzie...

Czy nie wydaje się wam to bezczelnem i nieprzyzwoitem, by słonie, na które zwrócona jest uwaga Ludów Puszczy, siedziały pół dnia we wodzie, — w zwyczajnej, mokrej wodzie, która jest głupia i nie podobna do niczego i służy do picia?

Jak wam się to wydaje, kochani czytelnicy?...

— Słoń jest stworzeniem łagodnem.

Ale to, co widziałem, było nie do zniesienia i dlatego ja wpadłszy w pasyę, uderzyłem na słonie wodne i począłem bić je bez litości, aby wiedziały, że im nie sprzyjam. Uciekły wszystkie w popłochu...

A jeden nieżywy został mi pod nogami...

To była pierwsza istota, którą zabiłem.

I to była pierwsza krew...

Hrmfahalaila!!! Krew...

Ooo!! Ramathlabama — Maukaua — Molopo!!!

Ooo!!!

...Zabity słoń został w czerwonej kałuży...

A gdy zapadła noc —

— zjadły go hieny — zuchwałe w ciemnościach.

— — — — — — — — — — — — —

Ród mój nie kocha rodu Słoni wodnych...

Powtórzcie ze mną!! Śmierć Słoniom wodnym!!!

* * *

Co mówiły Zebry.

Był ranek...

Już Zebry zaczęły rżeć po równinach...

Słońce wstało, przeciągając się leniwie, jak bawół Umba podnoszący się z moczary, w której się tarzał.

Zbudziły się papugi śpiące we włosach palm...

Krzyczą, wrzeszczą zielone papugi...

— Gwiazdy umarły —

— — — — — — — — — — — — —

Zawołałem na Zebry: „Chodźcie do mnie i opowiadajcie mi o wielkiej pustyni Kalahari." A Zebry, ścigłe Pręgowate Rumaki, przygalopowały z rozwianemi grzywami i stanęły wokół mnie kołem.

I mówiły, rżąc radośnie, rozszalałe biegiem: „Jesteśmy przy tobie, my Czujne, Zwinne i Chyże...

Czego żądasz, wiecznie niespokojny Urum-Baba?"

„Opowiedzcie mi o pustyni Kalahari."

I tak poczęła mówić Inkauani-Motlokotloko, doświadczona przewodniczka stada:

„Słuchaj, co mówi przyjeciółka twoja Inkauani. Znane mi są wielkie, złote piaski najeżonej skałami Kalahari, gdzie rodzą się synowie Lwa i Lamparta,

— gdzie ciepłe noce grzęzną w morzu miesięcznego srebra, a tak jest pusto, że jeno włócznie szczerbatych skał podpierają gwiazdy,

Nie idź na Kalahari, bo tam jest smutno...

Nie idź na Kalahari, bo tam napadną cię wojownicy Pawianów. Tam śpią po dziurach skalnych sępy napasione świeżą padliną.

Nie idź tam, bo słońce Kalahari jest, jak wąż...

— niejeden z plemienia Ludzi zmarł od jego ukąszenia, nie odmówiwszy modlitwy. Gorący oddech słońca zjadł go, nie zastanawiając się nad tem, czy jest smaczny."



Palmy na Kalahari

„Smaczną jest gałąź akacji — rzekłem. — Przeto jedzcie gałąź akacyi, a będziecie szczęśliwi...

A to, co mówicie o Kalahari — nie przestrasza mię wcale...

Jeszcze dziś wieczór pójdę tam, gdzie muszę — bo chcę —

I tak też było.

Na Kalahari.

Cisza... Żar południa...

Błękitnieją nieskończone piaski...

Lazur nieba przeczysty, a gwóźdź słońca wbity weń, rozpalił się do białości...

Cisza dzwoni w uszach...

W narkotycznym cieniu palm daktylowych mdlejących od gorąca — płacze chora gazela... Zapewne umrze...

Cisza... Godzina południa zgubna dla zwierząt i kwiatów.

Spoglądam w niebo — — —

Hen, na wysokościach nad słonecznym kręgiem, wisi Sęp-koczownik... zdaje się, jakby kulę słońca w szponach trzymał.

Kołuje zwolna nad konającą gazelą.

Drapieżne oko w nią wlepił.

— Zwolna, zwolna kołuje...

— — — — — — — — — — — — —

Pić mi się chce...

Mój żołądek tańczy Taniec Głodu.

Moje kiszki śpiewają Pieśń o Wodzie.

Moja trąba chrapie i węszy.

Nigdzie wody niema...

Coś ty uczynił, niespokojny duchu Urum-Baba!

— Podszedłem do smukłych palm i odzieram je z liści i kory... Palmy są chore... Usychają...

Obojętnie, bez współczucia przypatruję się umierającej gazeli, która wodzi za mną załzawionemi oczyma.

Ktoś woła... Oglądam się...

To on, Sęp, który czuwa nad nami w godzinie śmierci — — —

„Hej, czarne pudło!! — chrapie z góry. — Odejdź od mojej gazeli! To jest wyłącznie moja gazela..."

„Nie przeszkadzam ci wcale — brzmi moja odpowiedź.

„Odejdź! — dąsa się Nienasycony. — Nie lubię zabijać w towarzystwie. Nie lubię zjadać publicznie. Odejdź w spokoju. Gdy oddam tej biedaczce ostatnią przysługę, zwołam braci moich i podążę za tobą. Posiadasz bardzo dużo mięsa..."

Niewychowany głupiec. Mógłby przynajmniej nie zdradzać się z tem, że zjada cudze mięso. Co innego my, Słonie. Mamy dosyć swego mięsa — jemy zaś tylko rośliny. One są smaczne i soczyste.

Odszedłem nienapojony i głodny. Mam dziwne uczucie w nogach. Żołądek mój wierzga i zagląda mi do gardła niecierpliwie. Moja trąba jest smętna i apatyczna...

Doznaję dreszczy. Czy to jest Strach?

Jak to powiedział ten sęp, Przyjaciel Umarłych?

„Posiadasz bardzo dużo mięsa".

Powiedział wyraźnie: „Posiadasz bardzo dużo mięsa". Czy nie uważacie, że on to całkiem głupio powiedział...

Myśl na marginesie.

Kładę tutaj myśl krótką na marginesie...

Słonie nie powinny chodzić na pustynię Kalahari...

Źle jest, gdy Słonie zaczynają chodzić na pustynię Kalahari...

Doświadczyłem tego na sobie...

(Ciąg dalszy nastąpi).

HERB I BARWY NARODOWE.

Już przy próbie na III. stopień (młodzika) winien harcerz znać chorągiew narodową i sposób jej wywieszania. I wstyd to doprawdy, że dziś mało kto zna chorągiew własnego państwa!

Sądzę jednak, że w jaki tydzień po wyjściu tego numeru „Czuwaja" i przeczytaniu przez Was tych słów, nie znajdzie się w Tarnowie całym ani jedno dziewczę ani jeden chłopiec, którzyby się z tem doskonale nie obznajomili. I jeśli Wy, szanowni koledzy i Wy — piękne koleżanki tego cudu nie dokażecie, dalibóg! respekt mój dla Was (a jakże!) zniknie zupełnie! A więc czytajcie uważnie i zapamiętajcie dobrze, abyście potem innych mogli pouczyć.

Herbem Polski jest biały orzeł z głową zwróconą w prawo (dla patrzącego w lewo), z koroną, umieszczony w polu czerwonem (nigdy innem!) prostokątnem.

Barwami polskiemi są biała i czerwona, w podłużnych, równoległych pasach (biała na górze — odwrócona zaś oznacza żałobę).

Godło Rzpltej przysługujące Naczelnikowi Państwa stanowi chorągiew barwy czerwonej z herbem Rzpltej w środku.

Poselstwa i konsulaty mają chorągiew bez wycięcia o barwach państwowych, z herbem Rzpltej w pośrodku górnego (białego) pasa.

Chorągiew pułkowa piechoty jest kwadratowa, biała zajęta prawie w całości przez polski krzyż kawalerski barwy czerwonej, pośrodku którego w otoczeniu liści wawrzynowych znajduje się napis: „Honor i Ojczyzna" i numer pułku, który umieszczony jest także w rogach chorągwi.

Flagę wojenną lądową, oraz banderę woj. morską stanowi białoczerwona chorągiew wycięta, z herbem w środku białego pasa. Prócz tego na okrętach wojennych umieszczane będą jeszcze inne znaki, jak: proporzec na dziobie okrętu i wstęga na szczycie masztu.

j. b.

ROMUALD KAWALEC.

CHŁOPCY Z „DZIKIEJ OSADY".

W numerze tym drukujemy dalszy ciąg ciekawej powieści Dha R. K. Dla zaspokojenia ciekawości nowych Czytelników podajemy krótko przebieg dotychczasowej akcji.

Kilkunastu chłopców z przedmieścia jakiegoś większego miasta organizuje się — zapewne według wzorów z „literatury" tego wieku zaczerpniętych — po indyjsku, przybierając najrozmaitsze imiona.

Wódz ich, „Wielki Wojownik", Bolek Piwecki, syn zamożnego ojca, jednak sierota bez matki, pozostawiony samemu sobie, chłopiec dzielny, energiczny i przedsiębiorczy, choć nie bez wielu wad, organizuje pewnego późnego wieczoru wiosennego wyprawę swych „wojowników" do odkrytej przez siebie „dzikiej osady", którą stanowi ziemianka, pozostałość po wojnie światowej — i chce objąć ją w stałe posiadanie swej drużyny.

Rozdz. II. Do mieszkania Bolka przychodzi towarzysz jego zabaw, Piekarczyk, który czuje się ogromnie onieśmielonym dostatniem urządzeniem pokoju kolegi, a zmieszany jest jego poważnem a nawet wyniosłem zachowaniem.

— Cóż ty robisz człowiecze! — zwrócił mu uwagę kolega, a potem dodał — skoczno na dół do Semena po papierosy.

Chłopiec namyślał się przez chwilę co ma zrobić, bo sam pieniędzy nie miał, a żądać ich od kolegi nie śmiał.

— Cóż się gapisz jeszcze! — zburczał go ostro kolega, a potem spojrzał na niego przelotnie i dodał łagodniej — idź, idź prędzej, zapalimy sobie.

Wyszedł więc. Pod drzwiami postał jeszcze chwilę, ale wkońcu zszedł na dół. Sklepik był tuż obok, ale musiał najpierw zdobyć pieniądze, aby mógł kupić papierosów. Machinalnie skierował się ku domowi.

Jeszcze nie przestąpił progu, a już usłyszał:

— Gdzież to latasz ty nicponiu jeden! Masz tu koronę i idź mi zaraz do sklepiku po farbkę do prania. Tylko żywo, na jednej nodze!



Zamiast farbki kupił papierosów, rozumując, że przecież kolega zwróci mu zaraz pieniądze, a on wtedy załatwi matce sprawunek. Matka zawsze go strofuje, czy jest do tego powód, czy nie, kolega zaś mógłby być z niego niezadowolony, gdyby długo nie wracał.

Za chwilę siedział znowu przy biurku i trzymał w palcach papierosa, którym go poczęstował kolega. Nie palił go, bo Piwecki sam zapaliwszy, nie troszczył się o nic więcej, tylko dalej rysował, Piekarczyk zaś nie miał odwagi prosić o ogień. Zresztą zajęty był myślą o matce, która czeka tam na niego, gdy on siedzi tu bezradny.

Długo nie mógł się zdecydować na poproszenie kolegi o zwrot pieniędzy, aż wreszcie uprzytomniwszy sobie co się stanie, gdy wróci do domu bez niczego, już otworzył usta, aby powiedzieć, gdy naraz Piwecki zerwał się z krzesła i zawołał z tryumfem:

— Gotowe!

Potem spojrzał na Piekarczyka i zapytał zgorszony:

— A czemuż ty nie palisz tego papierosa?... To ci faja dopiero! Masz tu, zapal odemnie!... A teraz patrz na ten plan: Uwzględniłem w nim już te wszystkie ulepszenia, jakie mam zamiar przeprowadzić w przysz-

łości — mówił tonem jakiegoś nieprzeciętnego inżyniera. — Oprócz tej głównej pieczary, będą jeszcze dwie inne, przeznaczone na magazyn i na areszt!

— Areszt?...

— Tak! areszt, w którym będę zamykał nieposłusznych wojowników, i wogóle tych, którzy w czemkolwiek wykroczą przeciw moim zarządzeniom... Tutaj masz — objaśniał dalej — urządzenie, które pozwoli nam pozostającym w zupełnem ukryciu, widzieć wszystko co się dzieje na zewnątrz. Jest to tak zwany periskop, który jutro zrobimy we dwójkę... te linje oznaczają przewody elektryczne do lamp i dzwonków...

— I ty to potrafisz zrobić?

— A jakże!... Wiesz co Piekarczyk?.. Ty będziesz moim adjutantem.

— Adjutantem?

— Tak! to znaczy będziesz mi zawsze towarzyszył i chodził wszędzie z rozkazami moimi.



— Dobrze!

— Źle! Gdy mówię do ciebie adjutancie, masz stanąć na „baczność" i powiedzieć: „rozkaz wodzu"...

— Adjutancie!

— Rozkaz wodzu!

— Pójdziesz do wszystkich wojowników z piśmiennym rozkazem.

Wziął z biurka kartkę papieru i odczytał:

— Dzicy wojownicy zbiorą się punktualnie o godz. 6-tej wieczorem na skraju lasku naprzeciw fabryki, celem wzięcia udziału w trzechdniowej wyprawie. Każdy przyniesie ze sobą jeden bochenek chleba, dziesięć ziemniaków, funt mąki, ćwierć funta słoniny, dwa surowe jajka, garść cukru, szczyptę herbaty, garnuszek i miseczkę. — Na odwrotnej stronie tego rozkazu, podpiszą się wszyscy, poczem zwrócisz mi go.

— Rozkaz wodzu!

— Możesz odejść!

(Ciąg dalszy nastąpi).

ESPERANTO A HARCERZE.

Ruch esperancki szerzy się coraz bardziej między harcerzami całego świata. Ku wielkiemu zadowoleniu tych harcerzy, którzy już zdawna byli zwolennikami międzynarodowego „języka nadziei", ukazał się jeszcze przed rokiem — artykuł w londyńskim tygodniku „The Scout", zatytułowany „Estu Preta", co po polsku znaczy „bądź gotów" czyli „czuwaj". Spowodował on przeszło 500 listów z zapytaniami, zwróconych do B. E. A. (the British Esperanto Association).

Artykuł ten przewidywał ustawy harcerskiej ligi esperanckiej i dał wiele doskonałego materjału dla propagandy opartej na starej zasadzie: „o harcerzy niech się troszczą harcerze".

Skoro sprawa zainteresowała już ogół skautów angielskich, wydano wkrótce broszurkę w języku esperanckim p. t. „Propono pri Skolta Esperantista Ligo" (projekt harc. ligi esperanckiej), by dla tego nowego przedsięwzięcia pozyskać także harcerzy innych narodów.

Jakoż niezadługo liga taka powstała i rozwinęła szeroką działalność. Przedewszystkiem postanowiono stworzyć obfity materjał agitacyjny. Dlatego też opublikowała liga doskonale napisaną broszurkę w języku angielskim — coprawda o 4 tylko stronicach objętości — p. t. „Kilka rad dla gorliwych harcerzy" (Some Points for Thoughtful Sconts), w której wyjaśnia, dlaczego skauci winni się uczyć esperanta i przystępować do ligi. W ślad za tą broszurką ma pójść cały szereg innych publikacji. Odbitki obu wspomnianych książeczek, których autorem jest założyciel ligi p Avoto, przesyła na żądanie prowizoryczny sekretarz zastępowy (Patrol leader) K. G. Thomson, 40, Oaklands Road, Bexleyheath, Kekent, w Anglji.

Celem harcerskiej ligi esperanckiej (Skolta Esperantista Ligo, czyli S. E. L.) jest rozpowszechniać esperantem idee harcerskie wśród wszystkich narodów świata wytworzyć międzynarodową literaturę harcerską, wydawać czasopismo harcerskie pisane po esperancku i wogóle szerzyć myśl braterstwa między społeczeństwami, a szczególnie młodzieżą wszystkich narodów.

Liga ta ma we wszystkich większych państwach swe odgałęzienia. Miejmy nadzieję, że piękne te pomysły znajdą przychylne przyjęcie i uznanie i wśród polskich harcerzy.

a. c.



Z ŻYCIA HARCERZY.

Wystawa harcerska otwarta była w Tarnowie w dn. od 29. XI. do 7. XII. 1919, obraz pracy drużyn w dwóch pierwszych miesiącach roku szkolnego. W stosunku do krótkości czasu, trudności w zdobyciu materjałów, oraz ze względu na szczupły stan liczebny drużyn i młody wiek wykonawców, wystawa przedstawiała się nadspodziewanie dobrze. O wszechstronności pracy harcerzy i harcerek świadczyła wielka ilość działów i okazów, starannie i pomysłowo wykonanych. Na wyszczególnienie zasługują modele z działu pionierki i obozownictwa (między innymi duży model mostu, uwidoczniony na jednej z fotografji w niniejszym numerze, model tratwy, łódź w naturalnej wielkości i t. d.), dział kartograficzny z licznymi rysunkami, planami, szkicami sytuacyjnymi i perspektywicznymi; zwracały powszechną uwagę reliefy na szkiełkach, do złudzenia imitujące mapy plastyczne; dział tropienia reprezentowały wypalane w glinie odciski stopy w biegu i marszu. Bogate zbiory pieczęci, odznak, fotografji i kartek, oraz literatury harcerskiej. Bogactwem szczegółów, wielką pomysłowością i starannością w wykonaniu zaciekawiał dział zdobnictwa (fotografja), zasilony w znaczniejszej części okazami harcerek, a już szczególnie podziwiano drzewko, obwieszone mnóstwem efektownych ozdób, dziełem najmłodszych harcerek. Z pomiędzy przedmiotów nie zaliczonych do żadnego z działów, wymienić należy roboty piłeczkowe i zabawki z drzewa, rysunki, karykatury, okręt — z papieru wykonany (fotografja) i t. d.



Z I. Wystawy harcerskiej w Tarnowie.



Z I. Wystawy harcerskiej w Tarnowie.

Całość robiła na zwiedzających wielkie wrażenie; okazała dowodnie, że nawet w trudnych warunkach dokonać można wiele i zjednała idei harcerskiej wielu zwolenników, tak wśród młodzieży, jak i starszych.

Zestrzelmy myśli w jedno ognisko. W dniu otwarcia Wystawy harcerskiej w Tarnowie (29 listopada 1919) wysłali tarnowscy harcerze i harcerki następujące pisma:

Do Głównej Kwatery ZHP w Warszawie.

Naczelnej władzy harcerskiej w dniu otwarcia wystawy, która jest dorobkiem naszej pracy, a zarazem będzie bodźcem do tem intenzywniejszych wysiłków, ślemy na znak posłuchu i łączności zapewnienia wiernej służby w szeregach i nasze Czuwaj!

Do Drużyn Harcerskich we Lwowie.

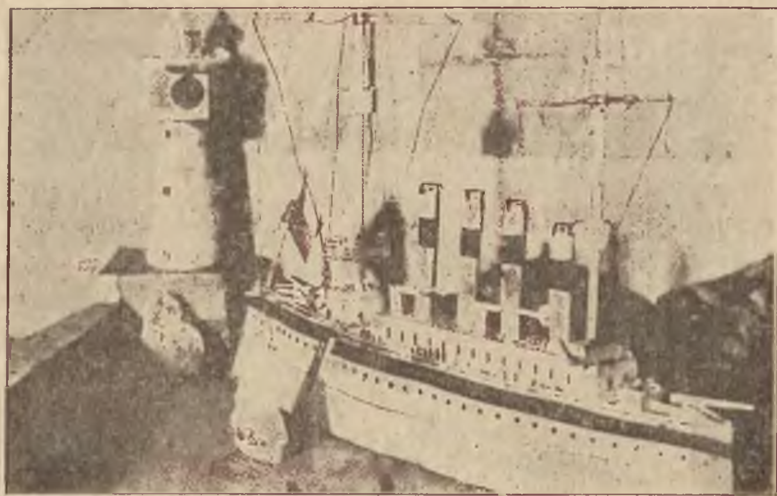
W pierwszą rocznicę ofiarnych a krwawych walk o lwi gród, w których niepośledni udział wzięły bratnie nam drużyny lwowskie, a także garść naszej młodzieży harcerskiej — oraz w dniu otwarcia Wystawy harcerskiej ślemy Wam gromkie Czuwaj! — Poległym Cześć!

Szopka harcerska. Harcerze tarnowscy odegrali w dniach 7, 10 i 11 stycznia b. r. szopkę harcerską czyli Betlejem tarnowskie. Niezmiernie żywą i urozmaiconą akcję, w której obok momentów komicznych, wzbudzających salwy śmiechu wśród publiczności, nie brakło też miejsc poważniejszych — rozpoczął djalog między harcerzem a djabłem. Z chwilą podniesienia kurtyny w prologu ujrzeliśmy obóz harcerski, a dziarscy harcerze odśpiewali „Wieniec *tarnowskich* pieśni harcerskich". Rej w drużynie wiódł dzielny kucharz, który rozweselał publiczność kapitalnymi kupletami. Szczególne zainteresowanie wzbudził „taniec indyjski", ilustrowany przez orkiestrę.

W odsłonie I. obóz w mrokach nocy pogrążony, zaalarmowany zostaje przez czatę, zatrwożoną tajemniczym blaskiem na niebie. Zjawia się anioł, który wzywa harcerzy, by pospieszyli przed stajenkę. Harcerze, z próżnemi rękoma przyjść nie chcą; zbierają tedy różne dary dla Dzieciątka, a wreszcie ofiarowują mu wspólny „dobry uczynek" — opatrzenie rannego ze sali.

Szereg komicznych efektów wyzyskany został dobrze przez zręczną reżyserję; tak np. nikt nie mógł się wydziwić, jak z małego, dwupłachtowego namiotu, rozbitego na środku sceny wyjść zdołało 20 (słownie: dwudziestu!) harcerzy.

W II. odsłonie przewinęło się przed nami szereg znanych postaci, które dążą do stajenki. Szli tam i trzej paskarze i trzej królowie od aprowizacji, którzy odśpiewali aktualne kuplety, i trzej policjanci, trzej złodzieje, trzej uczniowie, którzy ze zdumieniem konstatują fakt, że nauka toczy się regularnie, bez przerwy od dwóch dni; zdziwienie ich jest zupełnie słuszne, niebawem bowiem przybywa policjant, który przy odgłosie bębna obwieszcza przerwę w nauce (po raz siódmy w tym roku), z powodu tyfusu głodowego. Jest i Straisenberg z afiszami i Jasiek skrzypek i prof. Czerbak z Warszawy, któremu nie udają się eksperymenty hypnotyczne z dziadem, Rok Stary, emeryt, co na Wolnej, Niepodległej... zęby zjadł, wygnany przez pełen nadziei Rok Nowy i inni.



Z I. Wystawy harcerskiej w Tarnowie.

W III. odsłonie widniała w głębi stajenka, przed którą rój gwiazdek odtańczył efektowny taniec, który był prawdziwą atrakcją wieczoru. Zakończyła go dłuższa deklamacja, w której jeden z harcerzy przedstawił ideały i dążenia młodzieńca polskiego.

Wspaniale urozmaicił wieczór koncert orkiestry wojskowej pod wytrawną batutą p. Wolfstahla.

J. Isr.



KRONIKA.

Tarnów. Ze szkół.

Seminarjum nauczycielskie żeńskie. Wybory ważnością chwili przypominające „wiec kobiet" w Tarnowie w roku 1919, odbyły się głośno, ale nader zgodnie, (co nie znaczy jeszcze, aby tu i ówdzie nie było opozycjonistek). Mamy w każdej klasie wójta (nie wójtową), dwóch asesorów, oraz 4, słowem cztery sekcje, z przewodniczącemi na czele.

Najwięcej żmudną i utrudnioną akcję ma przewodnicząca sekcji porządkowej, dlatego jest wskazaną rzeczą, aby wzięła do pomocy wszystkie koleżanki. Sekcja naukowa pokuje na gwałt różne mądrości do mózgownic jeszcze niezapełnionych. Zdumiewające w skutkach było ustanowienie sekcji odwiedzania chorych. „Cała litania" zredukowała się do liczby dwu. Każda w obawie niepożądanych gości spieszy do „budy" bez względu na niesprzyjającą aurę. Nasi przełożeni bowiem zapominają o tem, że „seminarzystki" nie mają... parasoli.

Klasyfikacja! Półrocze! Oj doloż moja dolo od kucia mię szczęki bolą. Po kącikach w klasie radzą nad tem i owem, opowiadają ucieszne i smutne zdarzenia, przeważnie „z tańców", o niefortunnym upadku jakiegoś dansera, wcale nie przypominającego kształtami greckiego efeba. (Nieszczęśliwy uszkodził nos, ale pogotowie ratunkowe natychmiast zaopatrzyło ranę i jest nadzieja, że na drugą zabawę w całości przybędzie).

Prezydjum klasy zapowiada składkę (już nie na gwiazdkę) na papier, na dekorację ławek i stolika.

Niemal każda wzdycha ciężko, westchnienia te zlewają się niby w jeden harmonijny akord, czegoś podobny do sapnięcia lokomotywy. Boć to jeszcze ogólne pytanie z muzyki, a skrzypce to zmora każdej seminarzystki. Niczem dudnienie gam.

Gimnazjum S. S. Urszulanek. W ostatnich tygodniach przeżywały uczenice naszego gimnazjum bardzo ważne chwile. Złożyło się na to najpierw przedstawienie, które odbyło się dnia 8 grudnia i zaraz po niem wieści o zbliżającym się końcu świata. Wiele ruchu sprawiło przedstawienie wśród uczenic. — Wystąpić na scenie, — dowieść swych talentów scenicznych i to w takiej sztuce, jak „Lilla Weneda", to nie żart przecież. Jak to tam było z przygotowaniem, może mieć wyobrażenie ten, kto miał kiedykolwiek do czynienia z pannami, mającemi pretensję do dorosłych. — No, ale dzięki jednemu z panów profesorów trudy, z jakiemi trzeba było walczyć zostały pokonane i uwieńczone pomyślnym skutkiem. Jak słychać — podobno się to ludziom dosyć podobało. Ledwo się klasztor nieco po przedstawieniu uspokoił, aż tu rozeszła się wieść o końcu świata. — Strach padł na wszystkie uczenice. Bieganinie, pytaniom poważnym, a nawet płaczom końca nie było. Wszystkie tłumaczenia p. profesorów nic nie pomagały i dopiero wiadomość o niezwykle długich, bo 25-dniowych wakacjach świątecznych, umysły uspokoiła. Przydały się te wakacje bardzo, bo teraz wszystkie uczenice gruntownie wypoczęte powróciły do szkoły i „kują" przykładnie, tembardziej, że klasyfikacja za pasem. Pomimo pogłosek o rozmaitych chorobach, frekwencja bardzo dobrą, no ale te pogłoski są źródłem nieskończonych rozhoworów i jak zwykle obaw.

PIOSNKI HARCERSKIE.

Kawał chleba do plecaka,
Na przekąskę pół ziemniaka,
Laska w dłoni, a na skroni
Kapelusik druh.

A drużyna dzielne chłopy,
Będzie tego do pół kopy,
Przez zagony, na wsze strony
Wielki czynią ruch.

Gdy ich burza w polu złapie
Krzyczą sobie „a tom wpadł,"
Gdy im deszczyk na nos kapie,
Każdy wesół, gwiżdże rad.

Jeden w gaju gałąź pociął,
Drugi wodę leje w kocioł
Do ogniska drzewo ciska
I gotuje żer.

Jeden zastęp zrobił namiot,
Drugi go porządnie zamiótł,
Robią łóżka, a poduszka
Z obozowych der.

Płonie ognisko i szumią knieje,
Drużynowy siadł wśród nas,
Opowiada starodawne dzieje,
Bohaterski wskrzesza czas.
O rycerstwie od kresowych stanic,
O obrońcach ukrainnych granic,
A ponad nami wiatr szumny wieje
I dębowy huczy las.

W tym namiocie na wycieczce,
Dusim się, jak śledzie w beczce,
Zastępowy nie ma głowy
I usnęła straż.

A przebiegły wróg tymczasem,
Wlazł do krzaków przed szałasem —
— Wnet nas złapie! czata chrapie,
Śpi komendant nasz.

Krzyczą „hura" awantura,
Cierpnie skóra, cały drżę
Wróg się hurmem, wali szturmem
Biada śpiącym, będzie źle.

Wróg się zakradł jako złodziej,
Z czatami się za łeb wodzi,
Kawę schłeptał, ogień zdeptał
I ucieka w las.

Już do powrotu głos trąbki wzywa,
Alarmują ze wszech stron.
Staje wiara w ordynku szczęśliwa,
Serca biją w zgodny ton.
Każda twarz się uniesieniem płoni,
Każdy laskę krzepko dzierży w dłoni
I z młodzieńczych się piersi wyrywa,
Pieśń potężna, pieśń jak dzwon:
Nie rzucim ziemi.....

Wydawca: Harcerska Komenda Dzielnicowa w Tarnowie. Z drukarni Józefa Pisza w Tarnowie, pod zarządem St. Starostki.